Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 11 (385). *WARSZAWA, 1 czerwca 1927 r.* *ROK XX*



KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. **ADRES: NOWY-ŚWIAT 35.** **TELEFON 7-98**

Z Centralnego Związku Polskich Stow. Łowieckich.

Na skutek starań Centralnego Związku u władz państwowych w sprawie uzyskania poparcia przez miejscowe władze policyjne, działalności delegatów powiatowych, Wydział Wykonawczy otrzymał zawiadomienie od pana komisarza Rządu (Ldz. Pr. 3320-G. 27), że: „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych poleciło reskryptem z dnia 20 kwietnia 1927 r. Nr. A. P. 2265/27 wezwać funkcjonarjuszy Pol. Państwowej, aby w interesie racjonalnej gospodarki łowieckiej i walki z kłusownictwem, udzielili w razie potrzeby delegatom powiatowym pomocy, a w tym wypadku w m. st. Warszawie Centralnemu Związkowi Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, a w szczególności przyjmowali, dla przeprowadzenia dalszych dochodzeń doniesienia tych delegatów o przekroczeniu przepisów obowiązujących w dziedzinie policji łowieckiej. Na podstawie powyższego wezwałem Komendanta P. P. m. st. Warszawy o udzielenie odnośnych pouczeń funkcjonarjuszom P. P."

Wyżej wspomniany reskrypt Min. Spraw Wewnętrznych otrzymali pp. wojewodowie i główny komendant Policji Państwowej. Ponieważ jednak Min. Spr. Wewnętrznych nie zgodziło się, aby polecenie panów starostów do policji, w sensie powyższym było wydrukowane na odwrocie legitymacji delegatów powiatowych, Wydział Wykonawczy w dalszym ciągu czynić będzie starania o zezwolenie na umieszczenie na legitymacjach takiego polecenia.

Ze Stowarzyszeń Łowieckich.

Tow. Praw. Myśl. „Diana" w Zawierciu.

Ogólne zebranie doroczne odbyło się dn. 27. III r. b.

Na przewodniczącego został wybrany prezes T-wa, p. Stattler.

Członka popierającego, starostę pow. Zawierckiego, p. Czesława Kowalskiego wybrano na członka honorowego. Do komisji rewizyjnej wybrano p. Kazimierza Polaskiego.

Składkę członkowską na rok b-cy uchwalono na 180 zł., dodatkowo zaś od każdego „pudła" do zająca na polowaniach zimowych po 20 gr. i od każdego ubitego zająca zabranego z sobą po 1 zł. Dotychczasowe opłaty dla członków popierających zł. 10, wpisowe zł. 50, za wprowadzenie gości na polowania wiosenne zł. 20 i na zimowe zł. 50 pozostawiono.

Co do okólnika zabraniającego urządzać polowania w niedziele i święta, ogólne zebranie zdecydowało wystosować do Centr. Zw. Pol. St. Łow. list z motywami, że T-wo to składające się tylko z członków zatrudnionych w przemyśle w dnie powszednie, do treści okólnika tego zastosować się nie może.

Na kierowników polowań zostali poproszeni p. Rudzki i p. Smogorzewski.

T-wo liczyło dn. 1/II. b. r. 47 członków.

W r. z. zarząd wytoczył następujące sprawy sądowe: za wnykarstwo w lasach Siewierskich — 1 (ukarany 50 zł.), za niszczenie jaj kuropatwich—. za nielegalny handel zwierzyną — 1, za wnykarstwo na terenie Bzow i Karlin — 3.

Nadto odebrano kłusownikowi broń palną oraz wytoczono sprawę b. dzierżawcy Blanowic za samowolne polowanie na tymże terenie.

Na posiadanych terenach Zarząd urządził 16 polowań. Wyniki w stosunku do roku ub. zmniejszyły się średnio o 26 proc.

Gajowi pobierają po 120 zł. rocznie i premje od ubitych zajęcy po 0,50 ew. 1 zł. od sztuki oraz ewent. nagrody 50 zł. za przyłapanie kłusownika lub sidlarza.

Zamówione zające w r. ub. w Czechach nie zostały wysłane, zapłacone więc pieniądze wraz z pewnem odszkodowaniem firma czeska zwróciła. W r. b. Zarząd zamówił 10 samic i 2 samce w Krośniewicach.

Do Zarządu należeli pp. prezes Stattler Zenon, vice-prezes Steinhagen Aleksander, członek zarządu Troussier Henryk i Wodzinowski Józef, zast. Berndt Roman i Sowiński Zygmunt, skarbnik Herrmann Fryderyk, sekretarz Fidala Adam, komisja Rewizyjna: pp. Kuncewicz Adolf, Rudowski Leon i Wołoszyński Jerzy.

Wpływy uczyniły 9.398 zł.

Wydatki na dzierżawy 2.198 zł.

Podatki od terenów 1.241 zł.

Ochrona: Pensje gajowych terenów włościańskich 770 zł. Za żarnowiec do zasiania 186 zł. Za koniczynę i siano 133 zł. Za paszę 12 zł. Za pozwolenia na rewolwery i naboje dla gajowych 40 zł. Nagrody za kłusowników 105 zł., premje od ubitej zwierzyny 99 zł. Ogłoszenia w sprawie nagród za przyłap. kłus. 20 zł.

Różne: Centr. Zw. składki 296 zł. Razem z różnemi 6.244. Budżet na rok 1927/28:

Dzierżawa: zł. 1.900, podatki zł. 1.200, ochrona zł. 1.500, Centr. Zw. składka 250 zł. Razem z różnemi 6.600 zł.

Statystykę polowań Tow. „Diana" podamy osobno na innem miejscu.

Z Tow. Myśliwskiego „Głuszec" w Warszawie.

Dnia 27 marca 1927 r. odbyło się doroczne zebranie członków Towarzystwa. Ze sprawozdania Rady wynika, iż rok 1926 był niepomyślny dla hodowli zwierzyny i zwierzostany na terenach T-wa uległy naogół pogorszeniu. W związku z tem, w ubiegłym sezonie Rada ograniczyła do minimum polowania na zające i kuropatwy, pozostawiając znaczną część terenów niepolowaną. Na dwuch zimowych polowaniach ogółem ubito: 3 kozły, 1 lisa, 42 zające. Prócz tego w ciągu roku w różnych terminach członkowie T-wa upolowali: 13 kuropatw, 187 kaczek i 27 bekasów. Tępienie szkodników, zapoczątkowane pod koniec okresu sprawozdawczego dało dobre wyniki. Leśnicy ogółem zgłosili 93 psy, 47 kotów oraz 7 jastrzębi. Spraw o kłusownictwo w roku 1926 nie wytoczono. Jeden z leśników został zaskarżony do sądu przez właściciela zabitego psa, rzekomo ogara. Sprawę sąd umorzył. W roku 1926 Towarzystwo wydzierżawiło nowych terenów około 3000 ha na przeciąg lat dziesięciu.

Do Rady Towarzystwa, wobec upływu kadencji dawnej Rady, wybrano p.p. Henryka Messinga na prezesa, Seweryna Stanilewicza na wice - prezesa, Józefa Bieguszewskiego na łowczego, Zygmunta Wysockiego na sekretarza, wszystkich 4 ponownie, oraz p. Stanisława Mertensa na członka Rady. Do komisji rewizyjnej na rok 1927 weszli p. p. Bronisław Grocholski, Ryszard Jakobini i Ludwik Ziegenhirte.

Przyp. Red. Z braku miejsca odkładamy pozostałe sprawozdania do następnego numeru.

Z cyklu polowań rodziny cesarskiej Habsburgów.



ORZEŁ.

Epizod z polowań arcyksięcia **Rudolfa** na orły. — Spadający okaz jest 57-my z kolei, zabity w Mannsworth d. 13 stycznia 1889 roku. — Obraz **Pausingera**.

Wspomnienia myśliwskie z Indji.

ADAMOWI ZAMOYSKIEMU w dowód starej przyjaźni, wrażenia te poświęcam.

Luty-Marzec 1927.

I. Pierwszy lampart.

Dobra organizacja jest rękojmią wyniku polowania, szczególnie jeśli spoczywa w rękach ludzi, którzy są myśliwymi i znają zwyczaje i miejsca pobytu zwierzyny, na którą się poluje. Jadąc do dalekich Indji, nie miałem pod tym względem ani chwili wątpliwości, gdyż kierownikiem ekspedycji miał być pułkownik Faumthorpe, największy myśliwy Indji i specjalista od polowania na tygrysy. Przez lat 35 mieszając w Indjach — zabił pułkownik Faumthorpe około 100 tygrysów, pomijając już wielką ilość lampartów, z których 3 zakłuł z konia lancą — i nie mówiąc o pięknym rozkładzie wszystkich niemal gatunków zwierzyny, od gór Himalajskich począwszy, aż po Ceylon. Znakomity strzelec, znany w Indjach pod przydomkiem „Great Shikar", dziś do tygrysa lub lamparta nie podnosi sztucera, chyba w ostatecznej konieczności, a tylko z ramienia Muzeum Waszyngtońskiego zbiera pomniejsze okazy fauny indyjskiej.

Z kuzynem moim Józefem, który wracał z oficjalnej misji do Afganistanu, spotkaliśmy się w stolicy imperjum, w Delhi i wspólnie ruszyliśmy do Lucknow, miasta położonego na północnej granicy Indji, gdzie po kilkudniowym pobycie, wyjechaliśmy już pod egidą pułkownika, koleją, na samą granicę królestwa Nepalu.

W dali widniały niebosiężne szczyty gór Himalayskich, wiecznym śniegiem pokryte, podczas gdy terenem naszego polowania była ogromna równina, wspaniałym lasem i dżunglą porosła. Lasy te, pod nazwą „terrai forests", będące własnością rządu indyjskiego, ciągną się wzdłuż granicy Nepalu, na przestrzeni paruset kilometrów i są wzorowo zagospodarowane na wzór niemieckich lasów państwowych. Przeważa tu jeden gatunek drzewa, a mianowicie drzewo „sal", z wyglądu struktury kory bardzo podobne do naszego dębu, o liściach szerokich, szklisto zielonych, bardzo gonne i jako drzewo materjałowe bardzo cenione. Zadziwiające jest zwarcie lasu i niezwykła bujność podszycia, tworząca miejscami zbite, niskopienne gąszcze palm. Lasy te są ulubioną ostoją tygrysów, które ściągają tutaj z wyżyn Nepalu za stadami jeleni, w które knieja ta obfituje.

Nie tylko tygrysa i lamparta, lecz niemal całą faunę Indji można spotkać bez trudności wśród zieleni cudownych lasów terraiu.

Po nocy spędzonej w wagonie wysiedliśmy rano na maleńkiej stacji, pod nazwą Dundwa, gdzie oczekiwał nas nadleśniczy Anglik, Mr. Stewart z dwoma automobilami i kilkoma wozami, zaprzężonymi w tęgie byki. Ranek był chłodny; rzeźkie powietrze ciągnęło od gór Himalajskich, które w czystym lazurze nieba grały miljonami kolorów. Odetchnąłem z lubością, stanąwszy po tygodniach podróży nareszcie u celu, w warunkach, które przewyższały wszelkie oczekiwania. Mr. Stewart uprzejmie objaśniał nas o horoskopach polowania i o widzianych tropach tygrysów, a wreszcie o zajmowanem przez niego stanowisku w służbie rządowej. Obszar, który mu podlegał, wynosił około 150.000 ha, podzielony na leśnictwa i racjonalnie eksploatowany, według map i planów gospodarczych. Po drodze już widzieliśmy cięcia, a stacje zawalone były podkładami kolejowymi i tęgimi klocami, coś w rodzaju naszych dworców kolejowych, na rubieżach Rzeczypospolitej.

Co nas jednak najbardziej zadziwiło, to istnienie na całym obszarze znakomitych dróg samochodowych. Nie są to bite gościńce, lecz zwykłe, ziemią równane drogi, które w porze suchej oddają doskonałe usługi i tworzą wygodne arterje komunikacyjne.

Przygoda z warchlakiem.

(Obrazek myśliwski na tle prawdziwego zdarzenia).

Opowiedział

Jan od Krzyża.

(Dokończenie. Zob. Nr. 10)

Naraz rozległ się donośny głos gospodarza:

— Panowie, sza! Chcę wam coś powiedzieć.

Zaciekawieni, otoczyliśmy p. Jana, a on, zniżywszy głos i oglądając się podejrzliwie ku drzwiom, mówił:

— Mam ja tu na folwarku chowanego warchlaka, którego mój gajowy złapał w lecie maleńkim prosięciem. Było przy maciorze pięć sztuk. Stara, rozjuszona szczekaniem pieska gajowego, szarżowała na mego człowieka i ten, w obawie o swoje życie, wygrzał do niej, kładąc trupem na miejscu. Prosiaczyny w pierwszej chwili, zbiły się w kupkę, koło nieżywej matki i to dało sposobność gajusowi złowienia jednego żywcem. Reszta uciekła i przyłączywszy się do innego stada, szczęśliwie wychowała. Proponuję więc, czyby nie można wyplatać figla Marcinowi i puścić mu na stanowisko tego warchlaka? Przekopawszy koryto w głębokim śniegu, będzie to bardzo łatwo zrobić.

— Brawo! — wykrzyknęliśmy chórem.

— Ale trzeba warchlakowi do szyi, list do Marcina przyczepić — dorzucił ktoś z obecnych.

— Ma się rozumieć, niechaj Włodzio list zredaguje.

Wtem drzwi skrzypnęły i wszedł p. Marcin, świeżo z drogi umyty i wonnymi olejami namaszczony, bo mimo lat czterdziestu, a piętnastu żeniaczki, lubił się koło spódniczek kręcić i bardzo o swą tualetę był dbały. Na jego widok wszyscyśmy zamilkli, przybierając miny obojętne; spostrzegł się jednak, że o nim mowa była, bo spojrzawszy dokoła, zauważył:

— Pewnie te drągi już na mnie jaki zamach szykują, bo im to z oczu patrzy.

— Obiad podany! — zaanonsował służący, ratując nas z kłopotliwego położenia, i gdyśmy wszyscy chórem krzyczeli: „Obiad!" — gospodarz wziął pod rękę p. Marcina i poprowadził do stołu. Skorzystali z tego dwaj bracia Lutomscy, którym śmiech rozsadzał już policzki, i pozostawszy w tyle, dali pełne ujście swej wesołości.

P. Jan był jeszcze podówczas kawalerem, a oprócz gospodyni, p. Rajgerskiej, i kilku dziewek kuchennych, dwór grzebowilecki nie miał innych przedstawicielek płci niewieściej. Wolność słowa i ubrania panowała tu w całej pełni.

— Ja tam lubię niewiasty w salonie, na ulicy, nawet w lesie — mawiał do nas p. Jan przy stole, — ale nie na polowaniu. Jest to rozrywka czysto męzka i uważam za profanację, gdy się do niej kobiety mieszają. Człowiek wróci zmachany z polowania, chciałby sobie zjeść spokojnie obiad, wypalić cygaro i zrobić partyjkę preferansa, a tu mu każą frak nakładać i panny obtańcowywać. Dobre to dla wiel-

Oprócz tego po całym kompleksie lasów rozrzucone są wygodne domki, tak zwane „bungalows", dla użytku leśniczego, czy też przejezdnych osobistości rządowych.

Stewart, młody Szkot, zajmował tę posadę od lat trzech z wielkiem zamiłowaniem, będąc nietylko leśnikiem z zawodu, ale też doskonałym znawcą i hodowcą zwierzyny. W niedługim czasie mieliśmy sposobność poznać jego zalety i skonstatować naocznie, jak wielka jest ilość zwierzyny nietrapionej, pod czujnem okiem jednego białego człowieka.

Pułkownik był tutaj w swoim żywiole. Tyle lat spędził, wędrując po tych lasach i dżunglach, i tam w dali, na chłodnych wyżynach Nepalu, że każda piędź tej ziemi była mu niemal osobiście znaną, i właściwie ona dzisiaj mu była drugą ojczyzną. Starzy shikarzy patrzyli w niego jak w tęczę, śledząc każdy jego ruch, bo odwagą i spokojem zdobył miłość i szacunek tych prymitywnych dzieci Wschodu. Tutaj panowała już wszechwładnie Azja, nikt się nie śpieszył i na wszystko był czas. I pułkownik, choć Anglik z krwi i kości, nabył tę zasadę, że kto chce polować, musi mieć dość czasu. Nie dziś — to jutro lepiej, żeby każda ewentualność spotkania się z tygrysem lub lampartem, była należycie przygotowaną i obmyślaną.

Wolno ruszyliśmy ze stacji o jakie 15 mil, gdzie w pięknem ustroniu, zwanem Sathiana, czekały przygotowane namioty i słonie, z ludźmi i przyborami do królewskich łowów.

Na wstępie do Sathiany przywitał nas stary przyjaciel pułkownika, Hindus, książę krwi, Dillipat shah, wielki myśliwy i właściciel słoni, człowiek w starszym wieku, nader uprzejmy i rozmowny. Pułkownik, on i Stewart byli odtąd osią i mózgiem całego polowania, tworząc tryumwirat niezwykle dobrany, uzupełniający się w fachowej wiedzy i lokalnej znajomości terenu.

Następnego dnia po przyjeździe, poprowadził nas pułkownik i Dillipat przez jeziora, bagna i moczary do niewielkiego lasku, coś w rodzaju dużej remizy, położonej w środku spalonego stepu. Nie przypuszczałem nigdy, aby słonie mogły przejść z ciężką haudą*) na grzbiecie, przez podobne bagna, chociaż miałem w pamięci spostrzeżenia z Afryki o niezwykłych zdolnościach słoni w przezwyciężaniu mokradeł, lub nawet otwartej wody. Wśród tego moczaru, porosłego szuwarem, zabiłem jelenia barasingha (swamp deer — Cervus duvauceli), wielkości naszego jelenia nizinnego, o rogach krótkich i jasnych, trofeum dość rzadkie w Indjach, bo jeleń ten zamieszkuje tylko te północne okolice i stale żyje w bagnie. Zabiłem go, gdy przepływał przez otwarte jeziorko; strzelałem w kark, bo tylko tyle wystawało z wody.

Do wyżej wymienionego lasku dotarliśmy około południa i natychmiast rozpoczął się miot. Słonie w rozwiniętej linji. Józef wysunięty naprzód o sto kroków z prawej flanki, ja — z lewej. Dżungla była wewnątrz niezwykle gęsta, drzewa i palmy poplątane, toteż słonie trąbami i łbami waliły jak taranem, by utorować sobie drogę. Wszystko, co żyło uciekało w dzikim popłochu, lecz rozkaz był, aby nie strzelać, tylko czekać na pojawienie się któregoś z dużych felinów. Pozostawało zaledwie 100 kroków gąszczu, gdy nagle pułkownik donośnie krzyknął, że lampart pomyka na przodzie. Słonie od razu czując drapieżnika, dawały sygnały alarmujące, ale szły w zwartym szyku, pędzone okrzykami mahautów.**)

Ścisnąłem sztucer mocno, starając się odnaleźć równowagę na grzbiecie słonia, co nie było rzeczą łatwą, bo trzeba się było strzedz kolców i gałęzi, a z drugiej strony hauda tańczyła, jak okręt na wzburzonem morzu. Naturalnie, w takich warunkach strzał jest niemożliwy. Lecz słonie myśliwskie są tak wyszkolone, że na dany znak stają, jak wryte, umożliwiając spokojny strzał na wszystkie strony. Widziałem, jak poruszyły się trawy, coś zaszele-

*) Hauda — rodzaj kosza, przymocowany sznurami do grzbietu słonia. W koszu tym myśliwy może stać lub siedzieć swobodnie.

**) Mahaut — krajowiec, który prowadzi słonia, siedząc na karku i popędzając go głosem, lub też w potrzebie kieruje zwierza żelaznym prętem.

---

komiejskich froterów, ale nie dla naszej drużyny myśliwskiej. A już co mnie najwięcej gniewa, to, gdy widzę kobietę w jakimś podkasanym, myśliwskim kostjumie, w getrach i kapelusiku z piórkiem, udającą myśliwego. Strzelbę trzyma, jak nieprzymierzając, pogrzebacz, oczy przy strzelaniu zamyka, pudłuje na potęgę, a zdaje jej się, że poluje. Człowiek jest tylko skrępowany, ze strzałem liczyć się musi, by nadobnej sąsiadki nie obrazić, i nawet nie może swobodnie... papierosa zapalić.

Większość między nami była tego samego mniemania, aleśmy się z wypowiedzeniem swego zdania wstrzymywali przez wzgląd na obecność brata p. Jana, którego żona należała właśnie do tych nowoczesnych „sportswomenek" i zła była na męża, że jej szwagier na polowania nie prosił.

Obiad przeszedł wesoło, poczem zapaleńsi zrobili jeszcze partyjkę preferansa, gdy reszta udała się do swych pokojów, aby rzeczy rozpakować, broń opatrzeć i ładunki przygotować.

Na dzień następny wyznaczono do opolowania rewir Kurowski, odseparowany polami od reszty lasów grzebowileckich i leżący na granicy majątku. Było tam w jednym miocie otropione stado, a w drugim — dwie pojedyncze, grube sztuki. Dzień ten więc nie zapowiadał się świetnie, ale p. Jan był zdania, że lepiej jest iść od gorszego ku lepszemu; a z drugiej strony, wypłoszone ztamtąd dziki, musiały przejść do głównego kompleksu lasów, więc była wszelka szansa, że je dni następnych znów mieć będziemy.

Długim sznurkiem pociągnęły sanie podjazdowe po kopnym śniegu. Dzień był pochmurny, ale mroźny i bezwietrzny. Po półgodzinnej jeździe, stanęliśmy w lesie Kurowskim, na gościńcu, gdzie na nas leśniczy, prowadzący polowanie, czekał.

Zajęto najprzód miot, w którym się znajdowały dwie pojedyńcze sztuki, jak się okazało — duży pojedynek i jałowa maciora, lecz te pod koniec pędzenia, przerwały się przez nagankę i, obłożywszy polem, poszły bez strzału do lasów Grzebowileckich. Nielepiej udało nam się ze stadem, prowadzonem przez mądrą jakąś maciorę, która poszła starem korytem na skrzydło i tu przedarła się przez linję obławników do sąsiedniego miotu. Zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu linii, a tymczasem dobry, miejscowy tropownik pojechał na małych saneczkach, aby dziki obciąć i przekonać się, czy nie wyszły z lasu. Po dość długiem oczekiwaniu, wrócił z radosną wiadomością, że stado zatrzymało się w gęstym zagaju, o dwa mioty dalej. Ściągnięto obławę i nas czemprędzej zawieziono na stanowiska, aby ruszona zwierzyna z miotu nie wyszła.

Przybyliśmy jeszcze w porę i zajęliśmy stanowiska, zanim obława miot okoliła. Trzeba jednak nieszczęścia, że tym razem stado wyszło pomiędzy dwóch największych pudlarzy z całego towarzystwa. Rozległy się cztery suche, sztucerowe strza-

ściało, ktoś jeszcze zawołał, że lampart tuż blisko, lecz mimo najlepszych chęci, zwierza zobaczyć nie mogłem.

Doszliśmy do końca miotu, gdzie ginęły już zarośla, a lampart nasz zniknął jak kamfora. Byłem przeświadczony, że spłoszony zwierz ruszył przed siebie, bo miał pole otwarte i dostateczne schronienie, lecz nasi augurzy zakonkludowali, że lampart się cofnął i przyczaił za nami. Zrobiliśmy na miejscu rodzaj ósemki ze słoniami. Pułkownik dobitnie wydawał rozkazy i nie minęło dwóch pacierzy, gdy usłyszałem w pobliżu głuchy pomruk, lecz znów w tak gęstem podszyciu i złomach, że nie zobaczyć nie mogłem. Otoczyliśmy ten kawałek, który nie wynosił więcej jak dwie morgi, półkolem słoni, — ja znów zachodząc z lewej strony, — Józef na stanowisku na prawej flance. Sygnał, trąbka — i ruszyły słonie w atmosferze okólnego podniecenia, z wyjątkiem pułkownika, który stojąc w haudzie bez broni w ręku, kierował swego słonia wprost na chrapiącego w furji lamparta. Po chwili nerwowo zatrąbił słoń i zabrzmiał okrzyk, że lampart ruszył. Zachodziłem, jak mogłem najśpieszniej i zobaczyłem, jak Józef podniósł sztucer i do galopującego w trawach zwierza, na 20 kroków strzelił, łamiąc mu krzyż. Huk strzału, ryk rannego lamparta, tumult słoni, idących łeb w łeb pod razami żelaznych pętów mahautów — a nad tem wszystkiem spokój upalnego, słonecznego dnia na niebie i spokój pułkownika na ziemi, — wszystko to tworzyło obraz niesłychanie rozkoszny dla oka, dreszczem niezwykłych, nowych wrażeń przejmujący nerwy myśliwego.

Drugi strzał Józefa trafił lamparta w kark, kładąc go trupem na miejscu. Był to piękny, wyrośnięty samiec, długości 7 stóp i 8 cali, o centkach tak ładnie znaczonych, jak gdyby one były misternie pendzlem na porcelanie malowane. Winszowaliśmy sobie wzajemnie tego pierwszego w Indiach poważnego trofeum, ale przedewszystkiem dziękowaliśmy pułkownikowi za fenomenalne poprowadzenie całego polowania, które umożliwiło Józefowi dojście do strzału i zabicie pięknego wicekróla dżungli.

II. Mój tygrys.

Od czasu zabicia lamparta przez Józefa minęło dni sześć. Dzień po dniu wyjeżdżaliśmy na słoniach, torując sobie drogę przez dżungle, lub w ogromnych trawach próbowaliśmy szczęścia, biorąc mioty w rozwiniętym szeregu dwunastu słoni. Z wyniosłości haudy, ze sztucerem gotowym do strzału, badaliśmy każdy wykąs trawy i najlżejsze poruszenie nie mogło ujść naszemu wytężonemu wzrokowi. Taki miot w olbrzymich trawach, w których zaledwie widać grzbiety słoni, należy do najbardziej emocjonujących polowań, jakich w życiu zaznałem, bo począwszy od tygrysa, a skończywszy na maleńkim „barking dear", literalnie wszystko, co dżungla w sobie kryje, może uśpione słońcem, spoczywać w mrocznych cieniach traw. Zaiste, zadziwiającą jest w takich razach pomysłowość słoni. Idą skupione, waląc trąbą gęste warkocze poplątanych zarośli, olbrzymią stopą wyczuwając najlżejszą nierówność gruntu. Czasem podniesie się trąba badawczo, lub ostrzegawczy sygnał zdradzi nerwowość któregoś z osobników. Ale naogół miot taki bywa idealny; równa linja słoni z pułkownikiem, który jako prowadzący, na największym słoniu, chustką lub ręką daje znak zwolnienia lub przyśpieszenia tempa. Na obu flankach dwaj myśliwi, wysunięci naprzód jako ci, którzy najprawdopodobniej dojdą do strzału. Z trzaskiem wypadnie stado jeleni lub cheetalów w śmiesznych podskokach, lub inna pomniejsza zwierzyna ustąpi ze strachem przed naporem stąpających olbrzymów. Lecz tygrys i lampart nie należą do szeregu zwierząt strachliwych. Jeśli taki zwierz jest w miocie, to będzie się czołgał przy ziemi, tuż pod linją pogonki, strasząc swoją obecnością nawet wieloletnie, wytrawne słonie.

Dzień 22 marca był zapowiedzią dobrych horoskopów. W dwóch miejscach zabiły dwa tygrysy tejże samej nocy nastawioną przynętę, zjadając prawie doszczętnie przywiązanego do drzewa byczka. Takie zabicie oznacza nieomylnie pewność zlokalizowania tygrysa na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, gdyż po tak smacznej biesiadzie, pozostaje tygrys blizko miejsca zabicia, w najgęstszem pod-

---

ły, lecz na miejscu nic nie pozostało. Z naszych stanowisk widzieliśmy tylko, jak obaj niefortunni myśliwi szukali czegoś na ziemi, poszli nawet kawałek w las, lecz wkrótce z niczem powrócili. Mimo, że jeden warchlak „dał znak", a drugi nawet „się zarył", nie znaleziono ani zabitej sztuki, ani farby lub „zestrzału". Cztery kapitalne pudła, dwa nosy na kwintę spuszczone, oto rezultat półdniowego polowania!

Była już wtedy 1-sza godzina, więc p. Jan zarządził śniadanie, zanim tropownik znów obetnie dziki, jeśli się ostatecznie z lasu nie wyniosły. Podjechaliśmy do gajówki, gdzie na nas bigos i zrazy z kaszą oczekiwały. Starka zrobiła kilkakrotną kolejkę, obudzając życie w naszych skostniałych członkach. Dotychczasowe niepowodzenie nie ujęło nam, bynajmniej naszych humorów; świtała nam jeszcze nadzieja, że stado z lasu nie wyszło, będzie więc można rezultat polowania naprawić.

Jakoż, pod koniec śniadania, dano znać, że tropownik powrócił. Pan Jan wstał i wyszedł z izby, a po niedługim czasie wrócił z wesołym uśmiechem na twarzy.

— Jeszcze nie wszystko przepadło. Dziki zatrzymały się w tym miocie od wolickiej granicy. Łatwo jest tam je dostać, bo miot z trzech stron otoczony polami, a z czwartej — od lasu, my staniemy; jest więc wszelka szansa, że do strzału dojdziemy. Mamy jeszcze dwadzieścia minut czasu, zanim tam dojdzie obława.

— Byle tylko na Edzia i Romka nie wytknęły, bo je znów popudlują — zauważył ktoś z obecnych.

— A ja trzymam sto rubli, że mego dzika znajdą — ofuknął się dotknięty do żywego, Edzio.—Najwyraźniej widziałem, jak zrulował (przedtem „zarył się tylko"), a że farby nie było, to nie żadna racja. Od kuli sztucerowej rana bardzo często zaciągnie się kłakami i zwierz farby nie daje.

Był to zwykły argument Edzia, gdy do zwierzyny spudłował, więc też wielkiej wagi do niego nie przywiązywaliśmy. Podkpiwaliśmy sobie tylko z naszego przyjaciela, robiąc mu uwagę, że jeżeli dzik rzeczywiście „zrulował" (o czem wszyscy silnie wątpili), to chyba tylko ze strachu.

Tak nam czas zeszedł, aż póki nie dano sygnału do odjazdu. Raczo ruszyły konie i wkrótce stanęliśmy na rogu linji. Cichutko poszliśmy gęsiego po wydeptanym w głębokim śniegu, szlaku, prowadzeni przez p. Jana, który nam kolejno gestem stanowiska wskazywał. Niedaleko tropów wchodowych postawił p. Marcina, zaraz na następnem stanowisku sam stanął, a nam trzem pozostałym kazał rozstawić się dalej. Stanąłem pierwszy od p. Jana.

Las, w którym dziki się znajdowały, był to dwudziestokilkoletni zagajnik sosnowy, dość jeszcze gęsty, aby promień wzroku ograniczać do jakich 80 kroków. Cisza była w powietrzu kompletna, tylko jakiś dzięciołek postukiwał sobie w drzewo, robiąc niedługie pauzy. Pnie i gałęzie chojaków, a nawet samo igliwie, wydawały się jakieś czarne na nie-

szyciu, oddając się spoczynkowi podczas dziennego upału.

Ruszyliśmy o mil 15 od miejscowości Czandon Czoki, gdzie dosiadłszy słoni, zapuściliśmy się w gęsty, cudowny las podzwrotnikowy. Odprowadzali nas mieszkańcy poblizkiej wioski, plemienia Taru, o wybitnie mongolskich rysach twarzy, którzy mieszkając tu, na samej granicy Nepalu, zmieszali się krwią z ludnością z gór Himalajskich. Dziwnie odmienny szczep od Hindusów. Mężczyźni krępi, z żółtawym odcieniem skóry, pół nadzy i nie noszący krasnych turbanów, kobiety zaś dość przystojne, lecz z płaskimi nosami i obwieszone najróżnorodniejszemi błyskotami. Kilkunastu takich tubylców ruszyło naprzód przed słoniami, by później jak duchy ulotnić się, gdyśmy już doszli do skraju puszczy.

Słonie szły wolnym krokiem jeden za drugim, a dżungla spała w objęciach upalnych promieni słońca. Nic nie zdradzało bliskości grubego zwierza, bo nawet zwykłe, ostrzegawcze odgłosy ptaków ginęły sennie w ogólnej ciszy, panującej dokoła.

Po godzinnym marszu dotarliśmy wreszcie do wysokich traw, jakby szuwaru, okolonego lasem, w którym spodziewaliśmy się zastać tygrysa, spoczywającego po rannem zabiciu byczka. W rozwiniętej linji, jak zwykle szły słonie, tworząc nagankę, jedynie zdolną do wypędzenia tak drapieżnego zwierza z wysokich zarośli. Lecz dziwnym zbiegiem okoliczności, w tem naturalnem ustroniu tygrysa nie było. Pułkownik Faunthorpe tłómaczył tę okoliczność długotrwałymi deszczami w początkach marca, które dały niezwykłą wilgoć szuwarom, odstraszając tygrysa od szukania swego naturalnego schroniska.

Nic pozostało nic innego, jak około godziny 3-ciej popołudniu zasiąść na machanie*), przy nowo przywiązanej przynęcie, w nadziei dostania tygrysa przed zachodem słońca. Na mnie wypadł los szczęśliwy, a Józef na drugiem drzewie zajął obserwujące stanowisko. Wydrapałem się szczęśliwie z wysokości mego słonia i usadowiłem się na machanie możliwie najwygodniej, układając sztucery, lornetkę i inne drobiazgi. Prawdę mówiąc, nie miałem najmniejszej nadziei ujrzenia tygrysa, gdyż my sami i słonie narobiliśmy tyle hałasu przez parę godzin ciągłego pędzenia, że byłem przekonany o niemożliwości utrzymania się jakiejkolwiek zwierzyny przynajmniej na parę mil wokoło. To też gdy towarzysze opuścili mnie zostawiając samego na wysokości kilku metrów od ziemi, oddałem się zupełnie kontemplacji nad przedziwnymi odgłosami, które dochodziły z dżungli. Józefa widzieć nie mogłem, bo był ukryty w głębi jakichś drzew, pozostając dobrowolnie dla dotrzymania mi towarzystwa. Dwa słonie zostały w oddaleniu kilkuset metrów w lesie dla nas, dla powrotnej drogi przez dżungle, reszta zaś z Dillipatem na czele ruszyła z trzaskiem ku granicy Nepalu.

Rozejrzałem się naprzód w planie sytuacyjnym, aby być przygotowany na wszelkie ewentualności, a nawet na niespodziewane zjawienie się zwierza. Przedemną o parę metrów miałem przywiązanego za nogę do drzewa byczka, na samym kraju wielkiego zapustu traw, które dochodziły w formie języka — z tyłu zaś i po obu bokach rozprzestrzeniał się wysokopienny las o stosunkowo dość rzadkiem zadrzewieniu. Różne ścieżki ciągnęły się wskroś, wydeptane bądź stopami tubylców, bądź też zwierzem dzikim, przemykającym w różne strony.

Powoli zapadał wieczór upalny, a z nim razem wróciło życie wielutysięcznych mieszkańców dżungli. Przedewszystkiem wyróżniały się głosy ptaków o artykulacji dziwnej i niesamowitej. Jakieś płacze, chichoty, zgrzyty, przerywane donośnemi zawodzeniami pawi. Na pobliskiem drzewie hasało stado małp, z wdziękiem i akrobacją skacząc z gałęzi na gałąź, aż liście szumiały tknięte paroksyzmem małpiego kunsztu. Nad moją głową przelatywały wraz ze świstem zielone papużki i jakiś oder-

*) Machan — siedzenie, które się przymocowuje do drzewa lęgimi sznurami na wysokości kilku metrów od ziemi.

---

skażenie białym śniegu. Gdym spojrzał po linji, wszyscy myśliwi stali nieruchomie, trzymając broń w pogotowiu.

Dźwięcznie zabrzmiał w oddali głos rożka sygnałowego i znów cisza dokoła zaległa. Naganka już ruszyła, tylko jej słychać nie było, bo na polowaniach grzebowileckich surowo było wzbronione hałasowanie podczas obławy. Dopiero, gdy się dziki przerwać chciały, wolno było hukać. Aby ostrzedz myśliwych, że naganka znajduje się w pobliżu, dawano drugi sygnał na 200 kroków od linji, i odtąd żaden myśliwy w miot nie mógł strzelać, aby nieszczęścia nie spowodować.

Staliśmy tak dość długo. Już się zaczynały wynosić z miotu sarny i szaraki, już czasami dochodziły stłumione głosy gajowych, równających nagankę, gdy naraz rozległo się pojedyncze, gromkie „nie daj", poczem zagrzmiało wśród ciszy leśnej „a hu, a hu, nie daj, a hu, a hu!". Rozglądałem się bacznie po knieji, i gdym spojrzał w stronę p. Jana, spostrzegłem, że się szybko zmierzył i w miot wypalił, a chwilę potem spostrzegłem pod stanowiskiem p. Marcina, mknącą w głębokim śniegu niewielką sztukę. Padły dwa strzały i warchlak zarył się w śniegu, aby więcej się nie podnieść.

Wkrótce czarne postacie naganiaczy zaczęły migać wśród gąszczu, a gdy podeszły ku linji, pobiegłem szybko do stanowiska p. Marcina, aby mu celnego strzału powinszować; inni towarzysze zrobili to samo. Pan Marcin i p. Jan stali nad warchlakiem, do połowy zakopanym w śniegu, oglądając doskonałą, komorową kulę (pierwsza była chybiona).

— Zobaczmy, czy przeszła na wylot?

Odwróciliśmy dziczka na drugą stronę i, o dziwo! spostrzegliśmy na płask do boku szyi przywiązany... list w sporej kopercie!

Spojrzałem na p. Marcina: miał minę niewyraźną, jakby nie wiedział, czy się gniewać, czy się śmiać, i powtarzał tylko półgłosem:

— A dragi, galgany.

W jednej chwili wszyscy myśliwi znaleźli się przy nas, bo wieść z ust do ust, lotem błyskawicy, rozniosła się po linji. Tłumiliśmy jednak w sobie wybuch wesołości, aby narazie zbytnio nie podrażnić p. Marcina. Lecz i on, widząc nasze wesołe twarze, parsknął wreszcie szczerym śmiechem, przyznając, że „dragi doskonale urządzili całą aferę".

— No, ale przeczytaj, Marcinku list, może tam jest co ważnego.

Odczepiono kopertę, na której widniał adres:

Jaśnie Wielmożny

Pan Marcin D.

W lesie Kurowskim

Stanowisko przy korytku.

wany rój dzikich pszczół z szumem samolotu popędził w niebieską dal.

Tymczasem zachodziło słońce, złocąc ostatnimi promieniami wierzchołki drzew i mrok zapadał żywo, jak zwykle w podzwrotnikowych krajach. Mój byczek początkowo okazywał przestrach, szarpiąc postronek i ustawicznie węsząc w stronę gąszczu traw, skąd przewidywał zbliżające się niebezpieczeństwo; wkrótce jednak uspokoił się i obojętnie ułożył na ziemi. Raptem usłyszałem ostrzegawcze wrzaski pawi i machinalnie zwróciwszy głowę na lewo w głąb lasu, ujrzałem w pełnem świetle wieczoru stojącego tygrysa. Wyglądał jak olbrzym ten król dżungli, a zjawił się jak mara, bo najmniejszy szelest nie zdradził jego kroków. Był odemnie oddalony na jakie 25 metrów, zwrócony na kulawy sztych tak, iż podziwiać mogłem nigdy nie widzianą, wspaniałą budowę zwierza, w jego naturalnej siedzibie i otoczeniu. Był to widok, którego nigdy zapomnieć nie potrafię. Spiczaste, nastawione uszy, para oczu żółtych, drapieżnych, o niemal magicznej sile, ogromny łeb z białymi wąsami i białem podgarlem i przepyszny, żółty, czarno - pręgowaty kolor sierści.

Pierwsza moja myśl zwrócona była dziękczynnie ku Świętemu Hubertowi, że pozwolił mi ujrzeć zjawisko, o którem dawno marzyłem. Pozatem jednak nie zrobiłem najmniejszego ruchu, by nie zdradzić mojej obecności.

Tygrys postąpił kilka kroków bez szmeru w kierunku byczka, tym razem z ogonem podniesionym, widocznie przygotowując się do skoku. W chwili, gdy łeb schował się za krzakiem, podniosłem sztucer do strzału. Wiedziałem, że już ujść mi nie może, lecz zależało mi na tem, aby zabić na miejscu, bo bliskość wysokiej trawy, nasuwała mi słuszną myśl mozolnego poszukiwania zwierza, nawet z doskonałym, komorowym strzałem. Tygrys był oddalony o jakie 15 kroków od byczka, który dopiero teraz zerwał się na równe nogi. Wysunął mi się cały kadłub i mięśnie sprężone do skoku, w majestatycznym ruchu udzielnego władcy puszczy. Strzeliłem, mierząc w kark i podobnie jak przyszedł bez szmeru i ostrzeżenia, tak samo i teraz zwalił się tygrys, jak piorunem rażony, nie wydając żadnego odgłosu.

Przedemną leżała na tle zieleni królewska zdobycz, największy z felinów w chwili wykonywania odwiecznych praw dżungli, nabytych siłą od wieków i pokoleń. Przed nim drżała dżungla, zwierz wszelki ustępował ze strachem, by prędzej, czy później paść ofiarą jego strasznej i przemożnej siły. Radość moja nie miała granic. To też zwoławszy się z Józefem, który widział zbliżającego się tygrysa, zatrąbiłem na słonie.

Zamiast cudownej ciszy i misterjów natury, które panowały wszechwładnie przed chwilą, zabrzmiała gwara ludzkich głosów, masywne stąpanie słoni i pytające okrzyki mahautów o możliwej żywotności tygrysa. Lecz za chwilę w życiu myśliwego pragnienie osiągnięcia zdobyczy tłumi wszelkie porywy poezji i uczucia, pozostawiając tylko nagą rzeczywistość objęcia w posiadanie rzadkiego trofeum.

Gdy słonie podeszły, zeszkoczyłem z machanu, podchodząc z pewną dozą ostrożności do zabitego tygrysa, który jednak nie dawał żadnych oznak życia. Była to bardzo piękna, w pełni wyrośnięta tygrysica, długości 9 stóp, o zimowej sierści, ślicznie znaczonej i zdrowych, wspaniałych kłach.

Noc zapadała, a razem z nią wiele urzeczywistnionych marzeń. Mahauci ostrymi krzykami utrzymywali w ryzach nasze dwa słonie, które węsząc tygrysa, okazywały lekki niepokój. Teraz zawinąwszy zabitego zwierza, w tęgą ze sznurów plecioną siatkę, wspólnemi siłami i niemałym wysiłkiem wwindowaliśmy go na grzbiet słonia i już pociemku puściliśmy się przez las w drogę powrotną.

Krzyż południa widniał na niebie i noc cicha, podzwrotnikowa towarzyszyła nam, śląc wspomnienia przeżytych chwil, jakby całunem mroku utrwalić chciała w sercu myśliwego jedną perłę niezapomnianych wrażeń.

Jerzy Potocki.

Zachowanie się szczere p. Marcina upoważniało nas teraz do wesołości, więc też wszystko to trzęsło się ze śmiechu, a gajowi i obławnicy poszturgiwali się łokciami.

— Czytaj list, czytaj list — krzyczano ze wszystkich stron.

P. Marcin zwolna kopertę rozerwał i list wyjął, podał go jednak p. Janowi, który wyczytał głośno co następuje:

„Jaśnie Wielmożny Panie!"

„Od pierwszych chwil mego życia, fortuna odmówiła mi swoich względów. Matkę moją uwiódł jakiś niecny odyniec, a potem rzucił ją z pięciorgiem dzieci na pastwę losu. Historja to dziś zwykła nietylko między dzikami, ale i między ludźmi. Matka, ciężko pracując na życie, wychowywała nas na prawych obywateli kraju, broniąc od głodu i nieprzyjaciół, gdy oto w jednem niespodziewanem spotkaniu legła z ręki nikczemnika. Bartłomiej Pyrka, (nazwisko tego nędznika) przerwał nić życia tej zacnej matrony, a gdyśmy wszyscy pięcioro, przerażeni ze łzami w oczach, zgromadzili się przy trupie naszej ukochanej matki, porwał mnie i uniósł do niewoli, gdzie mnie odtąd wychowywano w sferze, dla mnie zupełnie nieodpowiedniej O ile mogłem sądzić z rozmów parobków i dziewek folwarcznych, braci moich i siostry przygarnęła jakaś uczciwa rodzina, więc przynajmniej te biedne sieroty wyjdą na ludzi (tfu, chciałem powiedzieć — na dziki). Ale cóż się ze mną stanie? Los mój złamany, zdeptany, skruszony, zmiażdżony na zawsze. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko umrzeć i Ciebie, Jaśnie Wielmożny Panie, na egzekutora mej ostatniej woli wybieram. Strzelaj prosto w serce, a oszczędzaj szynek, bo te przydać się Wam jeszcze mogą. Niechaj ręka twoja nie zadrży ,a prawe oko łzą nie zajdzie (p. Marcinowi na zimnie zawsze łzy z oczu kapały — p r z y p. a u t o r a).

„Żegnaj, świecie uroczy!"

„Warchlak".

Teraz p. Marcin, rozbrojony do reszty czułym listem, śmiał się serdecznie, a my wszyscy obskoczyliśmy go dokoła i ściskaliśmy po przyjacielsku, wdzięczni, że naszego żartu do serca nie wziął.

Tego wieczora, we dworze grzebowileckim było chyba jeszcze weselej, niż zwykle. P. Jan kazał do obiadu podać „białego" i wniósł zdrowie króla polowania. Tak byłem rozczulony, żem się urżnął dokumentnie, co mi się zresztą zdarza we wszystkich wypadkach solennych. Mimo to, gdym się kładł do łóżka, usłyszałem z sąsiedniego pokoju głos p. Marcina, jak mówił do swego strzelca, prowadzącego statystykę zabitej przezeń zwierzyny.

— Franz, zapiszesz mi dziś jednego dzika.

Myśliwy i jego pismo.

Uwaga wstępna.

Musimy przedewszystkiem przyznać się do plagjatu. Tytuł artykułu jest zapożyczony z niemieckiego pisma łowieckiego „Wild und Hund" z dnia 29 kwietnia r. b.

Zapożyczyliśmy go jednak rozmyślnie, żeby zaraz na wstępie zwrócić uwagę myśliwych-Polaków na to, iż nawet Niemcy, mający przebogate piśmiennictwo łowieckie i liczne tygodniki myśliwskie, jeszcze nie są zadowoleni z tego stanu rzeczy, dążą zaś do ulepszeń i rozszerzenia się na tem polu.

Artykuł rzeczony w niemieckiem piśmie został zamieszczony na czele numeru i rozmiary tego artykułu zajęłyby niemal trzy pełne strony naszego „Łowca Polskiego".

Zastrzegając sobie tedy na później streszczenie myśli, zawartych w artykule niemieckim, myśli, które znane być winny także prawidłowym myśliwym polskim, — zajmiemy się tutaj narazie tylko jedynym dwutygodnikiem myśliwskim w języku polskim, organem Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, „Łowcem Polskim", który ma być przekształcony na:

Pierwsze w Polsce Tygodniowe Pismo Myśliwskie.

Będzie to niezawodnie radosna nowina dla prawidłowych myśliwych, dbałych o rozwój łowiectwa polskiego i jego piśmiennictwa.

Ambicja Polaka-myśliwego cierpiała niewątpliwie, gdy pomyślał, że nasz sąsiad zachodni od dawien dawna posiada niejeden tygodnik dla myśliwych, a Polska nigdy dotąd nie zdobyła się ani na jedno pismo tego rodzaju.

Nie ulega też wątpliwości, że myśliwy niemiecki dlatego także jest tak bardzo przywiązany do swego łowiectwa, iż ono przypomina mu się nieodmiennie w każdą niedzielę, kiedy myśl człowieka pracy jest swobodniejsza. Do tygodnika i jego idei czytelnik tak się niemal przyzwyczaja, jak do „swojego" dziennika. Takie przeto niedzielne czytanie tygodniowe jest wybornym środkiem propagandy łowiectwa i zarazem jego piśmiennictwa.

Własne pismo.

„Łowiec Polski" jest w tem wyjątkowem a korzystnem położeniu, że żaden przedsiębiorca prywatny, żaden wydawca nie zamierza zeń ciągnąć zysków dla własnej szkatuły.

„Łowiec Polski" jest w dosłownem znaczeniu wyrazu organem własnym Prenumeratorów. Im więcej będzie tych prenumeratorów, tem pismo będzie albo tańsze, albo ozdobniejsze i obfitsze.

I dlatego myśliwy-prenumerator, zachęcając kolegów i wzywając ich do prenumerowania „Łowca Polskiego", sam także na tem korzysta, bo ciężar wydawania i finansowania pisma spoczywa w ten sposób na liczniejszych barkach.

Pod tym względem „Łowiec Polski" będzie mógł współzawodniczyć w przyszłości nawet z pismami niemieckiemi, które jeszcze tu i ówdzie spotyka się w polskich domach myśliwych, niemających bodaj w przybliżeniu równoważnika polskiego.

Bliższe szczegóły o terminie przemiany „Łowca Polskiego" na tygodnik, o rozmiarach jego i innych warunkach prenumeraty, podamy w jednym z następnych numerów. Tutaj jeszcze musimy przypominać ciągle, że obowiązkiem moralnym każdego prawidłowego myśliwego jest jaknajszersza propaganda w celu ustawicznego rozszerzania koła prenumeratorów „Łowca Polskiego". Ten obowiązek moralny jest zresztą także we własnym interesie każdego prenumeratora.

Interesującym tematem są jeszcze:

Numery okazowe.

Bardzo często zwracają się do nas różni pp. myśliwi z żądaniem „numerów okazowych", które oczywiście posyłamy chętnie, aczkolwiek trudno zrozumieć, jaki jest cel tej „próby" specjalnie w danym wypadku? Nie chodzi przecież o przebieranie w obfitości pism myśliwskich, jakie mają naprzykład Niemcy.

Myśliwi nasi zrozumieć powinni, że o ile „Łowiec Polski" nie jest jeszcze zadowalający pod pewnymi względami, to winą tego jest brak miejsca i brak funduszów. O ile zaś te się znajdą, a znaleźć się mogą jedynie przez liczne prenumerowanie pisma przez myśliwych — to numery będą większe, częstsze i ozdobniejsze, a Komitet Redakcyjny będzie mógł urzeczywistnić liczne swe zamiary ulepszenia pisma, którym na przeszkodzie stoi obecnie brak funduszów.

Z tego też wyłącznie powodu niejedno już pismo myśliwskie w Polsce musiało przedwcześnie dokonać żywota.

Zastrzegamy się tutaj, że „Łowiec Polski" bynajmniej nie jest zagrożony finansowo, że w dotychczasowych rozmiarach może on wychodzić stale, mając byt zabezpieczony.

Dążeniem naszem jest ulepszanie pisma, powiększenie go tak, żebyśmy nie musieli się rumienić wobec piśmiennictwa myśliwskiego innych narodów.

Tymczasem posyłanie „numerów okazowych" w znacznej ilości bywa prawie stale bezskuteczne, pociągając za sobą jeno znaczne koszta.

Tak więc bezskuteczne było przez czas istnienia organu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, — posyłanie setek „numerów okazowych" oddzielnie do myśliwych w Małopolsce i oddzielnie — w Wielkopolsce; setek — do nadleśnictw i do leśnictw; do Bractw Strzeleckich i t. d.

Ostatnio posłaliśmy blisko sto odezw specjalnie napisanych przez jednego z seniorów łowiectwa polskiego do ludzi znających działalność myśliwską autora, — a rezultatem było pozyskanie... jednego prenumeratora. Z jednego z większych miast w Wielkopolsce nadesłano nam świeżo blisko 100 adresów z żądaniem wysłania „numerów okazowych", co wnet uczyniliśmy. I znowu w rezultacie zdobyliśmy — jednego. Taki „jeden", prenumerując nawet przez szereg lat, nie pokryje kosztów żadnej setki wyrzuconych numerów, porta, druku odezw i pracy administracyjnej.

A zatem nie „numery okazowe" być powinny hasłem przyjaciół „Łowca Polskiego", lecz nadsyłanie zgóry prenumeraty. Pod tym względem dzielnie się spisał jeden z czynnych członków władz Centrali, nieżyczący sobie ujawnić nazwiska, a który sam, bez numerów okazowych, zjednał kilkudziesięciu nowych prenumeratorów.

Bardzo skuteczną bywa też propaganda na terenie poszczególnych zrzeszeń myśliwskich przez ich władze.

Chwalebne przykłady zobowiązania członków do prenumerowania pisma za pomocą stałej składki rocznej, — mamy już na szczęście w Polsce. Praktykują to skutecznie, zapisując się chlubnie w kartach dziejów myślistwa polskiego: zrzeszenia Warszawskie (Polskie Tow. Łowieckie), Lwowskie, Krakowskie, Poleskie i Rawickie w Wielkopolsce, oraz częściowo Płockie i Koło Myśliwskie Zarządu Stadnin Państwowych. Świeżo zaś zawiadomił nas o takiem postanowieniu dwóch zrzeszeń w Mławie i okolicy, jeden z nestorów piśmiennictwa łowieckiego, inż. January Starzyński.

Oto przykłady godne naśladowania i pochwały.

J. O.

Pod zielonym sztandarem.

Ustawa łowiecka opracowana w referacie łowieckim wydz. ekonomiki leśnej Dep. Leśnictwa Min. Rolnictwa znajduje się obecnie w wydz. prawnym Dep. Ogólnego, skąd rozesłaną zostanie w najbliższym czasie do zaopinjowania wszystkim Ministerstwom.

Trzy piękne książki myśliwskie ukazały się w ostatnim tygodniu na półkach księgarskich. Omówię je obszernie w specjalnym artykule „Z literatury łowieckiej". Tymczasem chciałem odnotować ich pojawienie się, jako radosny fakt. St. W. Orski, świetny poeta-myśliwy wydał zbiór swoich wspomnień p. t. „A było to wczas rano". Ordynat C. Czarkowski-Golejewski zebrał swe nadzwyczaj ciekawe „Wspomnienia rykowisk". Znany autor myśliwski kpt. Kobylański (Przemyśl) napisał książkę p. t. „Kłusownik" o doniosłem, propagandowem znaczeniu. Literatura nasza łowiecka rozwija się, jak widzimy, coraz bardziej.

Walka z kłusownictwem. W celu ujednostajnienia i zaostrzenia walki z kłusownictwem na terenie całego Państwa M. Rolnictwa zwróciło się do M. S. Wewnętrznych z inicjatywą zwołania konferencji w tej doniosłej sprawie. Konferencja odbędzie się w najbliższym czasie.

Broń myśliwska nie jest przedmiotem zbytku. Min. Rolnictwa wystąpiło do M. S. Wewnętrznych z inicjatywą odbycia wspólnej narady razem z przedstawicielem M. Skarbu celem poddania szczegółowej rewizji sprawy nadmiernych podatków od broni myśliwskiej, jako od przedmiotów zbytku.

„Jeleń na szczudłach".
W „Polskim Eksporterze Drzewnym" (Gdańsk) Nr. 8 z r. b. p. B. Kr. w artykule p. t: „Problem morski i zagadnienie transportu morskiego" pisze: „Naród bez floty jest jak ptak bez skrzydeł, jak ryba bez płetew, **jak jeleń na szczudłach...** Kto jest odcięty od morza, ten pozbawiony jest dobrodziejstw tego świata, ten jest Pana Boga pasierbem".

Pan B. Kr. — jako stylista — jest stanowczo „Pan Boga pasierbem".

Ogon psa zabitego w polu.
Starostwo w Op..... wydało okólnik L. 4473/2, w którym ogłasza co następuje: „Wobec wynikających trudności dostarczania punktów od strzału w postaci nosów psich i kocich, których dość pokaźne ilości są tępione w polu, polecam podać do wiadomości posiadaczy broni myśliwskiej, iż wzamian nosów winien dostarczać ogony".

Z oświadczenia powyższego dowiadujemy się pocieszającego bądź co bądź faktu, iż „dość pokaźne ilości" „nosów psich" „są tępione w polu".

W dalszym ciągu starostwo określa, iż „ogon psa zabitego w polu" równa się 4 punktom.

Powstaje tylko jedna poważna wątpliwość: jakim sposobem Starostwo odróżni „ogon psa zabitego w polu" od ogona skurtyzowanego Kruczka, któremu ta operacja nie przeszkadza w dalszym ciągu kłusować ile wlezie. Czy w przyszłości będzie się spotykało wogóle na terenie starostwa psy z ogonami? Stanowczo nie. Popularna piosenka ludowa ulegnie wówczas zmianie. I lud zacznie śpiewać:

„Leci pies bez owies —,
ogonem nie wywija!
A kto temu winien?
Starosta bestyja!"

J. Ejsmond.

Wskazówki hodowlane na czerwiec.

Poza odstrzałem kozłów (rogaczy) z podjazdu lub podchodniego, do czego miesiąc czerwiec bardzo się nadaje, — wszelka inna zwierzyna użytkowa winna w dalszym ciągu zażywać bezwzględnego spokoju, — tak w lesie jak i w polu.

Głuszyce, cieciorki, bażancice i kuropatwy kończą wysiadywanie na gniazdach. Łanie i sarny prowadzą już młode. Klempy cielą się.

Zbliża się czas koszenia traw na łąkach oraz koniczyn w polach, przyczem gniazda z kuropatwami ulegają zniszczeniu. Aby temu zapobiec, trzeba już przedtem przedsiębrać na tych terenach poszukiwania, z dobrym, niezbyt ostrym wyżłem, dla wykrycia znajdujących się tam gniazd i poznaczenia tych miejsc, by nie uległy wykoszeniu, do czasu wylęgnięcia się kuropatewek. Niewykoszone miejsca z gniazdami, należy pozostawiać nie nazbyt małe — przynajmniej 3 × 3 metry. Mniejsze powierzchnie nie dają dostatecznej ochrony.

Nad miejscami temi trzeba jednakże rozciągać baczny dozór, bowiem do niewykoszonych kęp takich lubią gromadzić się żaby, a to znów staje się powodem, że je chętnie odwiedzają i rewidują bociany — a przy tej sposobności pada ofiarą niejedno gniazdo.

Wskazanem jest także, wyznaczenie nagród kosiarzom za każde, przez ich uwagę, oszczędzone gniazdo — z tem, że połowę tej nagrody otrzymają po wskazaniu oszczędzonego gniazda, a drugą połowę po wylęgnięciu się kuropatewek.

Rewidować w dalszym ciągu jamy lisie — i, gdzie się okażą, wykopywać młode.

Również odstrzeliwanie starych oraz młodych wypierzonych już jastrzębi przy gniazdach, niemniej wron, srok i sójek, prowadzić trzeba energicznie w dalszym ciągu, — o ile już uprzednio wszystkie gniazda nie zostały odnalezione i zniszczone.

Gdzie nie zdołano załatwić się w miesiącu poprzednim z wysiewem, w schroniskach lub na półkach hodowlanych łowieckich, drugiej serji prosa i gryki (hreczki), pozostać mających na pniu, jako karma jesienna dla kuropatw, przepiórek, bażantów i cietrzewi, — to można dokonać to jeszcze w pierwszej połowie czerwca. W tymże czasie wysiewa się też łubin na przyoranie jako zielony nawóz, pod następujący, wczesny siew żyta na zimową, naturalną, paszę dla zwierzyny.

Koniec czerwca jest też porą najodpowiedniejszą do rozpoczęcia przygotowywania dla zwierzyny — na okres zimowy — paszy liściastej z drzew. W tym bowiem czasie są liście delikatne, soczyste i w stanie zasuszonym najchętniej je zwierzyna przyjmuje. Do tego celu nadają się w pierwszym rzędzie: **dęby** (Quercus), **osika** (Populus tremula), **topola kanadyjska** (Populus canadensis), **topola czarna** (Populus nigra), dalej **lipa** (Tilia parvifolia et platyphyllos): **klon pospolity** (Acer platanoides), **brzoza** (Betula verrucosa et pubescens), **wiąz górski** (Ulmus montana) oraz **kruszyna** (Rhamnus frangula). Te ostatnia zadawać należy zwierzynie perjodycznie w małych dawkach, jako środek przeczyszczający.

Pasze liściastą zbierać należy przez obcinanie sekatorami lub nożycami ogrodniczemi, jedno i dwuletnich pędów wraz z liśćmi.

Idealnymi na ten cel są wiosenne pędy odrostków korzeniowych **osiki**, wiosenne pędy ogławianych nad drogami **topoli**, oraz wiosenne odrośla z pni po ściętych drzewach ubiegłej zimy.

Zebrane w ten sposób gałązki z liśćmi zasusza się na wolnem powietrzu, w miejscu cienistem, aby zasychanie odbywało się stopniowo, poczem wiąże wiciami w małe snopeczki, grubości 20—30 ctm. i przechowuje w miejscu suchem, lekko przewiewnem, najlepiej w specjalnych na ten cel brogach lub szopach.

Układając snopeczki dla przechowania ich do zimy, wskazanem jest przesypywanie poszczególnych warstw solą roztartą na mąkę, która w czasie wilgoci rozpuszcza się i osadza cienką warstwą na łodygach i liściach. Sól pobudza apetyt u zwierzyny i oddziaływa wogóle dodatnio na jej organizm.

Wobec zbliżającego się sezonu polowania na kaczki, nie trzeba zapominać, o przecięciu linji, przy końcu miesiąca, w trzcinach na jeziorach i stawach — dla polowań z naganką.

F. Rożyński.

Kalendarz myśliwski.

W czerwcu wolno jest polować, o ile uprzednio nie wyszedł dekret ministerjalny (dla b. Kongresówki), dekret Wydziału Obwodowego (dla b. Zaboru Pruskiego) lub władzy powiatowej (dla Małopolski).

W b. Kongresówce: na rogacze i na kaczory.

W b. Zaborze Pruskim: na rogacze.

W Małopolsce: na rogacze, na dzikie gęsi i kaczki (od 15 czerwca).

Uwaga. Przepis ten nie stosuje się do polowań, urządzanych w zamkniętych zwierzyńcach, gdzie przeto wolno jest polować przez cały rok.

Na Kresach: na rogacze, na gęsi i łabędzie (tylko od 30 czerwca), na kaczory i samce bataljony (tylko od 30 czerwca), na kaczki wszelkich gatunków, na bekasy, na dubelty, na bekasiki, na kulony i kuligi wszelkich gatunków, na czajki, na chróściele i na inne gatunki ptactwa błotnego i wodnego (tylko od 30 czerwca).

Uwaga. Na Kresach obowiązują terminy według starego stylu.

Kronika myśliwska

-o- Na dorocznem polowaniu w lasach Poturzyckich ordynacji Zarzecko - Poturzyckiej hr. Dzieduszyckich w dniach 13, 14 i 15 XII na czarnej stopie, padło 19 dzików (w czem 3 odyńce, 2 wycinki i 5 loch), 2 rogacze i 4 lisy. Najwięcej zabił ordynat Maurycy hr. Zamoyski: odyńca wagi 167 kg., 3 warchlaki, 2 rogacze z rogami i 3 lisy, z których 2 w dublecie. Pozatem uczestniczyli pp. Stan. Cieński, Eust. ks. Sapieha, Jan hr. Plater, Miecz. Kruszewski, Adam Rumwid, Włodz. ks. Czartoryski, dr. Tad. Walichiewicz, starosta Chrzanowski, Andrzej, Roman i Adam ks. Czartoryscy, dyr. Krzyształowicz, dyr. Horoszkiewicz i gospodarz.

Dnia 8.II tamże przy śniegu padło w 11 strzelb 6 dzików.

— W powiecie skałackim u p. Jerzego Fedorowicza w Oknie dnia 13.I padło 107 zajęcy; w Kaczanówce p. Jaruzelskich 30.XII lis, bażant i 126 zajęcy. W Łuce 8.XI p. Kieszkowskiej 48 zaj. W Chlebowie hr. Koziebrodzkich 28.XII 106 zaj. W Grabniku dra Roztockiego 13.X lis, 3 słonki, 53 zaj. W Horach 16.X 5 lisów i 12 bażantów, a dnia 10 i 11.I 435 zajęcy i 3 bażanty.

— W Chlewczanach (Małop.) 18.XII padło: 2 dziki, 6 lisów, rogacz i zając.

— W Skarzyskach (Małop.) 10 i 11.I: 4 dziki, 5 lisów, jarząbek, kruk, 26 zajęcy.

— W Krzywcy koło Przemyśla 15.I po śniegu 22 zaj. na 30 strzałów.

— W Horyńcu (Małop.) 20, 21 i 22.I: dzik, 4 lisy, rogacz, sowa, 62 zaj.

— W Radruzu (Małop.) 27.I: rogacz, 3 lisy, 36 zajęcy.

Koresp. „Łowca Polskiego".

Międzyrzec Podlaski.

Administracja dóbr „Międzyrzec" w uzupełnieniu wiadomości o zamordowaniu 2 gajowych przez kłusowników, donosi nam jeszcze następujące szczegóły:

Dnia 11 kwietnia r. b. około godz. 19-ej, jak zwykle, nadgajowy Aleksander Hryńczuk z gajowym Aleksandrem Kalickim mieli odbyć wieczorny obchód lasu Kwatery Sokule, Hryńczuk przybywszy wcześniej do gajówki, zamieszkanej przez Kalickiego — nie zastał tego ostatniego w domu, wobec czego bezzwłocznie podążył na umówione miejsce z Kalickim. W kilka minut po wyjściu nadgajowego Hryńczuka z gajówki, zamieszkanej przez Kalickiego, żona jego usłyszała 4 strzały szybko po sobie następujące, a wybiegłszy na podwórze, zobaczyła pod lasem w odległości kilkuset kroków od gajówki, goniących się kilku ludzi. W przypuszczeniu, że gajowi gonią kłusowników, wróciła do domu, nie przeczuwając nic złego. Gdy jednak mąż jej długo nie wracał do domu, udała się na miejsce, gdzie widziała goniących się ludzi, lecz wskutek ciemności nocnej wróciła do domu, nie odszukawszy męża. Z nadejściem jednak świtu udała się ponownie w to miejsce i znalazła zwłoki nadgajowego Hryńczuka, a w odległości zaś około 100 kroków zwłoki jej męża.

Właściciel dóbr, hrabia Andrzej Potocki wyznaczył nagrodę za wykrycie zbrodniarzy w sumie 6.000 zł., a losem wdów i 3-ch sierot zaopiekował się po ojcowsku. Tak dalece ohydnej zbrodni, dokonanej na niewinnych ofiarach obowiązku, kroniki tutejsze jeszcze nie notowały.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że jeden z podejrzanych i aresztowanych, niejaki Tadeusz Raczkiewicz, rolnik, zamieszkały we wsi Sokule, położonej o kilkaset kroków od miejsca zbrodni, przyznał się do zbrodni.

I-sza Ogólno-Polska Wystawa Sportowa we Lwowie.

Wystawa psów rasowych.

Dnia 3, 4 i 5 czerwca b. r. urządzona będzie po raz pierwszy we Lwowie w ramach Wystawy Łowieckiej, organizowanej na terenie Targów Wschodnich w związku z I Ogólno-Polską Wystawą Sportową, Wystawa psów rasowych, połączona z ich popisami i sprzedażą. Wystawa ta będzie miała bardzo doniosłe znaczenie dla podniesienia u nas hodowli psów rasowych, która od czasu wojny tak bardzo podupadła, że rzadko spotkać można okazy prawdziwie czystej rasy, któreby nie były przeważnie sprowadzone z zagranicy. Da ona okazję do wzajemnego zapoznania hodowców z miłośnikami psów, wyrobi smak i znawstwo ras szlachetnych, umożliwi dobór właściwego materjału rozplodowego, poinformuje o źródłach jego zakupu i ułatwi hodowcom zbyt.

Popisy psów myśliwskich i policyjnych odbywać się będą codziennie popołudniu w czasie Wystawy i wykażą inteligencję, rozum, bystrość i zdolność orjentacyjną wystawionych okazów W popisach tych weźmie udział grupa psów policyjno-śledczych, Korpusu Ochrony Pogranicza. Ze względu na charakter i kierunek tresury, popisów psów poli-

cyjnych zapowiadają się korzystniej od popisów psów myśliwskich, które w obecnym, „ogórkowym" dla nich i niedającym okazji do akcji w polu, sezonie, ograniczyć się muszą do popisów w karności, węchu i aportowaniu tylko. Tak dogodnej sposobności do publicznego zaprezentowania na Wystawie swych ulubionych okazów i ich tresury, nie powinien zaniedbać żaden hodowca ani właściciel. Zgłaszając je bądź to na Wystawę, bądź do popisów lub na sprzedaż do Komitetu Organizacyjnego Wystawy Sportowej we Lwowie, ul. Jagiellońska 1, przyczyni się tem samem do podniesienia w kraju hodowli psów rasowych. Znawcy, miłośnicy i hodowcy zaproszeni w skład Komitetu dają pełną gwarancję wygody i opieki nad nadesłanymi okazami przez krótki, bo trzydniowy zaledwie czas trwania Wystawy.

Wiadomości bieżące

Ogłoszeniowa „musztarda po obiedzie". Mamy do zanotowania jeszcze jeden fakt anormalny na temat poruszony w artykule p. t. „Ogłoszenia oficjalne" wydrukowanym w Nr. 9 „Łowca Polskiego". Oto Województwo Białostockie wysłało dn. 27 kwietnia list do administracji naszej, która go otrzymała 29 kwietnia, kiedy Nr. 9 już był wydrukowany. List zawiera ogłoszenie o mającej się odbyć licytacji broni dn. 9 maja. A więc znowu przed licytacją nie można było drukować tego ogłoszenia, a w N-rze „Łowca Polskiego" z dn. 16 maja będzie to już „musztarda po obiedzie". Może nasze władze zechcą to wziąć pod uwagę i zastosować się do terminu wychodzenia pisma.

Zjazd bractw strzeleckich. W dniach od 13 do 17 sierpnia r. b. odbędzie się w Grudziądzu „Wszechpolski kongres bractw strzeleckich". Sprawę programu uroczystości omawiano na jednem z posiedzeń zarządu bractwa. Wybrano specjalny „komitet uroczystościowy", na którego czele stanął b. senator, adw. Szydłowski. W związku z projektowaną uroczystością, prowadzi się intensywną pracę nad wykończeniem strzelnicy i parku.

Poznański ogród Zoologiczny. Po okresie zimowego więzienia zwierząt, z prawdziwą rozkoszą rozciąga się każde z nich i wygrzewa na ciepłem, majowem słońcu. Każdy z przybyłych do Zoologu, z zadziwieniem i radością przygląda się tej licznej gromadzie zwierząt, nie wiedząc, jednakże, ile pracy i trudu wymaga utrzymanie Zoologu. Rok 1926 zawiódł nadzieje dyrekcji zwierzyńca; wpłynął na to ogólny zły stan gospodarczy kraju. Dlatego też, nie przeprowadzono planowanej przebudowy groty i pawilonu dla małych drapieżców, pozostawiając prace te na rok 1927. Zwierzostan pod koniec roku ubiegłego przedstawia się następująco: ssaków jest 226 sztuk — gatunków 89, ogólnej wartości 203.380 zł., ptaków 135 wartości 3.492 zł. Utrzymanie Ogrodu Zoologicznego włącznie z kosztami administracyjnymi wynosi dziennie 450 zł. Osób w roku ubiegłym zwiedziło zwierzyniec przeszło 200 tysięcy.

Zamordowanie leśniczego. W Brześcianach pod Samborem popełniono morderstwo na osobie leśniczego Michała Paszaka. Paszak przywiózł z lasu do domu furę i wyszedł na podwórze. Od tego czasu więcej już do domu nie powrócił. Nazajutrz znaleziono zwłoki Paszaka w lesie, zabitego kulą rewolwerową. Tego samego dnia przyprowadzono na miejsce zbrodni psa policyjnego wszelkie jednak poszukiwania nie dały rezultatu. Prawdobodobnie Paszak padł z ręki kłusowników. Rzecz charakterystyczna, że prawie cała rodzina Paszaka została wymordowana przez kłusowników, gdyż padł z ich rąk ojciec, brat i szwagier Paszaka. Zamordowany osierocił żonę i kilkoro dzieci.

Wodołaz w myślistwie. Wynalazek p. Kazimierza Świderskiego (imiennika członka Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego") w postaci aparatu do chodzenia po wodzie, jest, jak się okazuje, doskonałym sprzętem w czasie polowania na ptactwo błotne. Może on oddać nieocenione usługi w sporcie myśliwskim.

Wypadek z dzikiem. W Lubieniu, majątku bar. Adolfa Brunickiego w Małopolsce, postrzelony dzik rzucił się na gajowego Baeckera, powalił go na ziemię i zadał mu kłem ranę 7 cm. długą na prawem udzie. Dzika dobito.

Leśnicy a „Łowiec Polski". W sprawozdaniu z ostatniego zebrania Koła Wronki Związku zawod. leśników czytamy między innemi: „W celu zasilenia kasy Koła, mającej obecnie znaczne wydatki na portorja, kupno roczników czasopism i ich bieżącą prenumeratę, a mianowicie „Przeglądu Leśniczego" „Lasu Polskiego" i „Łowca Polskiego", uchwalono za broszurki „Z życia Zawodowego", za które płaci się do Okręgu po 20 groszy, a pobierać od członków po 25 groszy".

Wilki w Karpatach. Wskutek bezśnieżnej zimy polowanie na wilki było w tym roku niesłychanie utrudnione. W Karpatach, gdzie wilki czynią szczególnie szkody w zwierzostanach jelenich, nie można polować na nie z obławą wskutek trudności terenu. Jedynym sposobem polowania są żelaza. Tymczasem niedźwiedzie przychodzą częstokroć do zastawionej w żelaza przynęty i zamykają ją, rzucając kawały łomu drzewnego, poczem spożywają padlinę. W ten sposób w Skolszczyźnie jeden niedźwiedź w ciągu zimy zatrzasnął kilkadziesiąt żelaz. Utrudnia to niesłychanie walkę z wilkami.

Rzeźnia psów. Policja sosnowiecka wykryła na przedmieściu Sosnowca zwanem Pogoń, iż niektóre rodziny zajmowały się chwytaniem psów w celach konsumcyjnych i leczniczych. Otwarta została nawet specjalna rzeźnia, w której sprzedawano psie mięso oraz kiełbasy z domieszką wieprzowiny. W ostatnim kwartale zabito w tej rzeźni około 300 psów i kotów. Konsumenci psiego mięsa poddani zostali badaniom lekarskim.

Kaczki Indyjskie. Inwentarz żywy ogrodu Saskiego w Warszawie powiększył się o parę ptaków. Ogród zoologiczny w Poznaniu zawiadomił zarząd ogrodów miejskich w Warszawie, iż przysyła dla ozdobienia sadzawki w ogrodzie Saskim parę kaczek, pochodzenia indyjskiego. Kaczki te oznaczają się barwnem upierzeniem.

Pozwolenia na broń. Bardzo znaczna liczba posiadaczów broni dotychczas nie odnowiła pozwoleń. Przepisy administracyjne pozwalają nakładać kary do wysokości 2.000 złotych. Dotychczas nakładano kary nieprzewyższające 200 złotych, gdyż przeważnie powodem nieodnawiania pozwoleń jest niedbalstwo, a nie zła wola. Im dalej jednak, tem kary będą surowsze, o czem władze administracyjne uprzedzają zainteresowane osoby. Po nałożeniu kar można się w ciągu siedmiu dni odwoływać do wydziału porządku publicznego minist. spraw wewnętrznych.

Zawody strzeleckie

III-cie Narodowe zawody strzeleckie w Toruniu. W ub. mies. odbyły się w Toruniu III narodowe zawody strzeleckie, w których po raz pierwszy została zastosowana zasada ściślejszej eliminacji, tak, że tym razem tylko śmietanka stanęła na starcie. W tem oświetleniu liczba około 300 strzelców na stanowiskach w Toruniu, daje pojęcie o wielkiej liczbie uprawiających ten sport

Już w czasie treningów zawodnicy niejednokrotnie przekraczali rekordy polskie, a niektóre wy-

niki zawodów eliminacyjnych znamionują postęp. Tak np. w Przemyślu sierżant Witkowski w strzelaniu z wojskowej broni długiej, na 300 mtr. osiągnął 246 pkt. na 300 możliwych, następny zawodnik Popiel wybił 239 pkt. Dotychczasowy rekord wynosił 186.

Wyniki były następujące:

Mistrzostwo Polski z broni długiej (dyst. 300 m.) zdobył por. Zalewski 207 pkt. (rekord).

Nagrodę marsz. Piłsudskiego (200 m.) zdobył po rozgrywce por. Nowicki. Maksimum 10 pkt. osiągnęło aż 10 osób.

Nagrodę Zw. Strzeleckiego (300 m.) zdobył Lwów 222 pkt. przed Warszawą 218 pkt.

Nagrodę wojewody pomorskiego (200 mtr.) wygrał por. Zalewski, 74 pkt.

Mistrzostwo Torunia (200 mtr.) wygrał plut. Łasak 84 pkt.

W zawodach przedolimpijskich z broni długiej (dyst. 400 mtr.) mjr. Stawarz 45 pkt. (rekord) zdobył nagrodę ministra oświaty.

Mistrzostwo Polski z broni krótkiej (200 mtr.) zdobył por. Miler 99 pkt.

Mistrzostwo Polski z broni dowolnej, krótkiej (50 mtr.) wygrał kpt. Łowiński 453 pkt. Rekord pobiło 7 osób.

W zawodach przedolimpijskich z broni krótkiej (25 mtr.) zwyciężył Podoski 18 p. Rekord pobiło 4 zawodników.

Mistrzostwo Polski z broni małokalibrowej (50 mtr.) wygrał Rutecki 387 p. (rekord).

Mistrzostwo Polski dla juniorów z broni małokal. — Haluza 373 p.

Mistrzostwo Polski dla pań z broni małokalibrowej (50 mtr.) wygrała Radlicka (Warszawa), 145 p. przed Bornacikówną (Warszawa) 143 p.

W zawodach myśliwskich (strzelanie do jelenia, strzał pojedynczy, 100 mtr.) wygrał kpt. Koziar 24 p. (rekord), Grabowski 22 p., Bereżnicki, Nowicki, Przybylski, Żołyński, Gutowski (po 20 pkt.).

W zawodach myśliwskich (strzał podwójny) wygrał por. Kurowski 33 p., Pawłowski 31 p., Kossowski 30 p., Ościsławski 29 p., rekord pobiło 4 osoby.

Mistrzostwo Polski w strzelaniu myśliwskiem do rzutków (dyst. 15 m.) wygrał płk. Węcki 9 pkt. przed Płonczakiem, Dryszkiewiczem, Graewą i Fersterem (po 8 pkt.).

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 11, za rok zł. 20. — Za numery rozpoczętego przed zapłaceniem kwartału kalendarzowego, liczymy jak za numery pojedyńcze, czyli po 1 zł. 20 gr. za numer.

CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120, pół — 70, 1/4 — 40, 1/8 — 24, 1/16 — 12. Przed tekstem o 50% drożej (Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej).

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich**







Zakłady Drukarskie P. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.